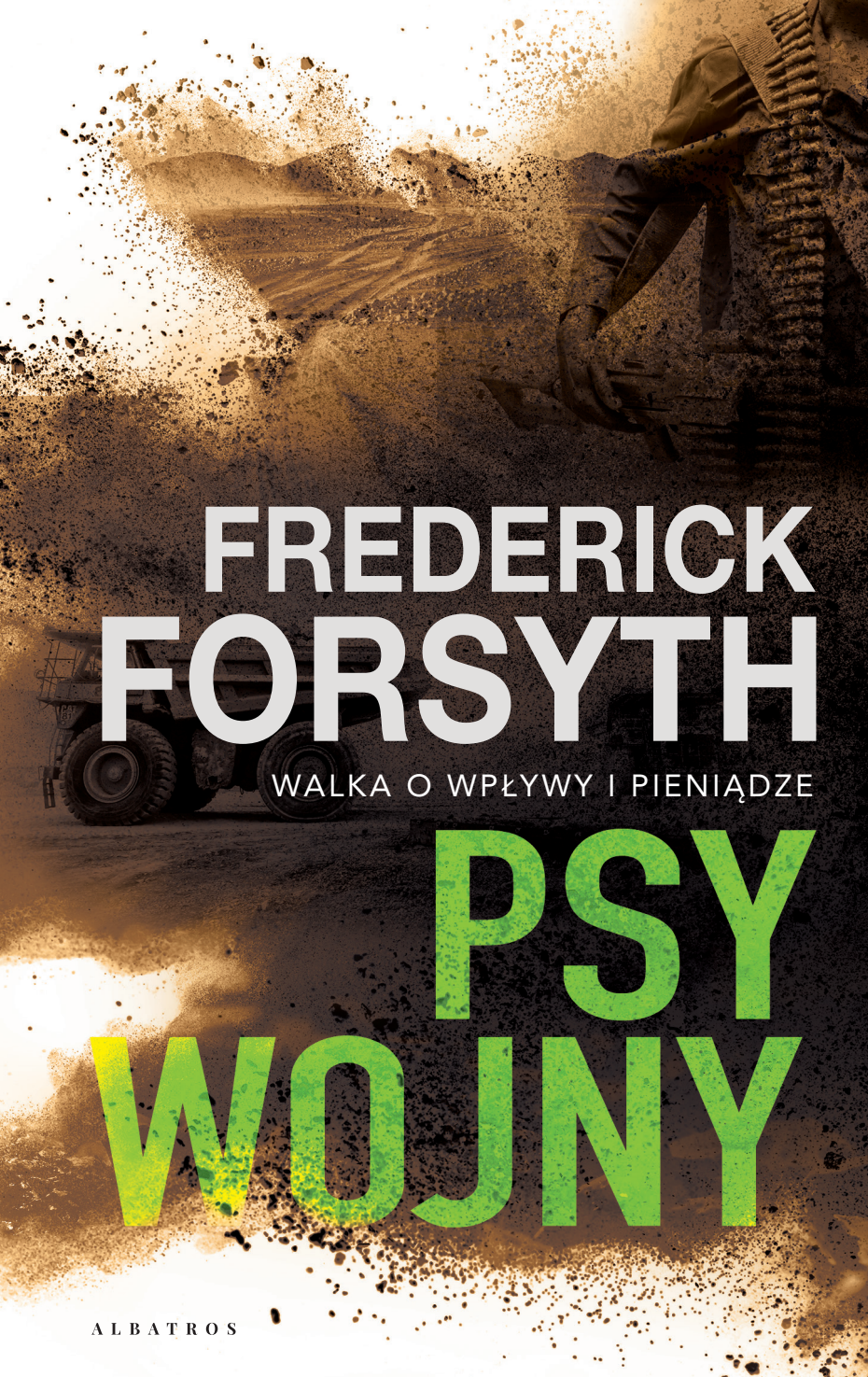




**FREDERICK
FORSYTH**

WALKA O WPŁYWY I PIENIĄDZE

**PSY
WOJNY**

ALBATROS

Prolog

Tej nocy lądowiska w dżungli nie oświetlały gwiazdy ani księżyc; zachodnioafrykański mrok otulał rozproszone oddziały niczym ciepły, wilgotny aksamit. Chmury wisiały tuż nad wierzchołkami drzew iroko, a czekający mężczyźni mieli nadzieję, że utrzymają się na tym poziomie i osłonią ich przed bombowcami.

Stary rozklekotany douglas DC-4, który przed chwilą wylądował, kierując się światłami zapalonymi zaledwie piętnaście sekund przed końcem ostatniego podejścia, zakręcił na skraju pasa i pokaszując, ruszył na oślep w stronę chat krytych palmowymi liśćmi.

Rządowy myśliwiec MiG-17, zapewne pilotowany przez jednego z sześciu enerdowskich pilotów przysłanych w ciągu ostatnich trzech miesięcy jako zastępstwo za Egipcjan, którzy bali się latać w nocy, z jękiem przeciął niebo na zachodzie. Leciał ponad chmurami, które kryły lądowisko przed wzrokiem pilota. Wypatrywał świateł naprowadzających, ale już je zgaszono.

Pilot kołującego douglasa nie słyszał ryku myśliwca, więc włączył reflektory, by oświetlić sobie drogę. W ciemności rozległ się beznadziejny okrzyk: „Zgaś światła!”. Zgasił je i tak, gdy zorientował się w terenie, a myśliwiec był już wtedy oddalony o wiele kilometrów. Na południu rozległ się grzmot

artylerii. Tamtejszy front wreszcie padł, gdy ludzie od dwóch miesięcy pozbawieni jedzenia i amunicji rzucili broń i ukryli się w lesie.

Pilot DC-4 zatrzymał maszynę dwadzieścia metrów od pasażerskiego lockheeda constellation, który czekał na płycie postojowej, wyłączył silniki, po czym zszedł na beton. Wtedy podbiegł do niego jeden z Afrykanów i wywiązała się między nimi przyciszona rozmowa. Po chwili obaj ruszyli przez ciemność w stronę jednej z większych grup ludzi, czarnej plamy na tle ciemnego lasu palmowego. Grupa rozdzieliła się, gdy dwaj mężczyźni nadchodzący od strony lotniska zbliżyli się do niej, aż w końcu biały pilot douglasa stanął twarzą w twarz z człowiekiem znajdującym się w środku. Widział go po raz pierwszy w życiu, ale wiele o nim słyszał, dlatego nawet w ciemności nieznacznie rozświetlanej kilkoma zapalonymi papierosami rozpoznał mężczyznę, z którym miał się spotkać.

Pilot nie nosił czapki, więc zamiast zaszutować, lekko skłonił głowę. Nigdy wcześniej tego nie robił, przynajmniej nie wobec czarnoskórego, i nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tym razem się na to zdecydował.

– Jestem kapitan Van Cleef – powiedział po angielsku z afrykanerskim akcentem.

Afrykanin skinął głową, a jego bujna czarna broda otarła się o przód pasiastego munduru polowego.

– Latanie w taką noc to ryzyko, kapitanie Van Cleef – zauważył oschle. – No i trochę za późno na nową dostawę zapasów.

Mówił powoli niskim głosem, a jego pozbawiony afrykańskich naleciałości akcent przywodził na myśl angielską szkołę prywatną, którą rzeczywiście ukończył. Van Cleef poczuł się nieswojo i po raz kolejny, jak sto razy wcześniej podczas przebijania się przez zwały chmur na trasie prowadzącej z wybrzeża, zaczął się zastanawiać, po co przyleciał.

– Nie przywożłem żadnych zapasów, panie generale. Już nic nie zostało.

Kolejny precedens. Obiecywał sobie, że nie będzie zwracał się do tego człowieka „panie generale”. Nie do Murzyna. A jednak mu się wyrwało. Inni najemni piloci spotkani w hotelowym barze w Libreville mieli rację. W tym facecie było coś niezwykłego.

– Więc po co pan przyleciał? – spytał cicho generał. – Może ze względu na dzieci? Jest tutaj grupka, którą zakonnice chcą odesłać w bezpieczne miejsce, ale dziś już nie pojawia się samoloty Caritasu.

Van Cleef pokręcił głową, po czym z zażenowaniem zdał sobie sprawę, że nikt nie zobaczył tego gestu. Cieszył się, że ukryła go ciemność. Otaczający go ochroniarze kurczowo zaciskali dłonie na pistoletach maszynowych i uważnie mu się przyglądali.

– Nie. Przyleciałem po pana. Oczywiście, jeśli zechce pan się ze mną zabrać.

Zapadła długa cisza. Kapitan czuł, że Afrykanin wbija w niego wzrok w ciemności. Od czasu do czasu dostrzegał mignięcia białek oczu, gdy jeden z asystentów generała unosił papierosa do ust.

– Rozumiem. Przyleciał pan tutaj na polecenie swojego rządu?

– Nie – odparł Van Cleef. – To mój pomysł.

Znów zapadła cisza. Brodacz powoli kiwał głową, co mogło świadczyć zarówno o zrozumieniu, jak i o zaskoczeniu.

– Jestem bardzo wdzięczny – odpowiedział. – To musiała być nie lada podróż. Ale tak się składa, że mam własny transport. Lockheeda constellation. Mam nadzieję, że zdoła mnie zabrać na miejsce wygnania.

Van Cleef poczuł ulgę. Nie miał pojęcia, jakie polityczne reperkusje wywołałby jego powrót z generałem do Libreville.

– Poczekał, aż pan wystartuje – odrzekł i ponownie pokiwiał głową. Miał ochotę podać generałowi rękę, ale nie wiedział, czy powinien. Nie zdawał sobie sprawy, że Afrykanin ma taki sam dylemat. W końcu odwrócił się i odszedł w stronę swojego samolotu.

– Dlaczego Południowoafrykańczyk, w dodatku Afrykaner, robi coś takiego? – spytał generała jeden z jego ludzi.

Przywódca uśmiechnął się przelotnie, błyskając zębami.

– Chyba nigdy tego nie zrozumiemy.

• • •

W dalszej części pasa startowego pod osłoną kępy palm pięciu mężczyzn czekało w land roverze i obserwowało niewyraźne sylwetki idące w stronę samolotu. Dowódca grupy siedział obok afrykańskiego kierowcy. Cała piątka bez przerwy paliła.

– To na pewno ten samolot z RPA – powiedział dowódca, po czym odwrócił się w stronę jednego z czterech białych skulonych z tyłu samochodu. – Janni, idź spytaj kapitana, czy znajdzie dla nas miejsce.

Wysoki, kościsty mężczyzna wyszedł z tylnej części auta. Podobnie jak pozostali był od stóp do głów ubrany w zielony mundur polowy poprzecinany brązowymi smugami. Nosił zielone płócienne wojskowe buty, w które wpuścił spodnie. U pasa miał manierkę oraz duży nóż, a także trzy puste ładownice na magazynki do karabinu FAL, który wisiał mu na ramieniu. Gdy znalazł się przed land roverem, dowódca ponownie go zawołał.

– Zostaw karabin – powiedział, wyciągając po niego rękę.
– No i Janni, postaraj się, co? Bo jeśli nie wydostaniemy się stąd w tym gruchocie, to za kilka dni pewnie nas załatwią.

Janni pokiwał głową, poprawił beret i powoli ruszył w stronę samolotu. Gumowe podeszwy stłumiły odgłos jego kroków.

– *Naand, meneer.*

Van Cleef okręcił się na pięcie, słysząc powitanie w afrikaans, po czym zmierzył wzrokiem przybysza. Nawet w ciemności dostrzegł czarno-biały motyw czaszki ze skrzyżowanymi piszczelami widniejący na lewym ramieniu mężczyzny. Nieufnie skinął głową.

– *Naand. Jy Afrikaans?*

Wysoki mężczyzna przytaknął.

– Jan Dupree – odrzekł i wyciągnął rękę.

– Kobus Van Cleef – powiedział lotnik, po czym uściśnął mu dłoń.

– *Waar gaan-jy nou?* – spytał Dupree.

– Do Libreville. Kiedy tylko skończą załadunek. A ty?

Janni Dupree wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Utknęliśmy tu z kolegami. Federalni na pewno nas załatwią, jeśli nad znajdą. Możesz nam pomóc?

– Ilu was jest? – spytał Van Cleef.

– W sumie pięciu.

Choć żywiołem Van Cleefa było powietrze, on również był najemnikiem, więc się nie wahał. Wyjęci spod prawa czasami muszą sobie pomagać.

– W porządku, wchodźcie na pokład. Ale pośpieszcie się. Ruszamy, gdy tylko wystartuje constellation.

Dupree pokiwał głową z wdzięcznością, po czym truchtem wrócił do land rovera. Pozostali czterej biali zgromadzili się wokół maski auta.

– Zgodził się, ale musimy od razu wejść na pokład – rzekł Południowoafrykańczyk.

– Dobrze, wrzucie sprzęt na tył i ruszamy – polecił dowódca.

Gdy karabiny i ładownice z łoskotem wylądowały z tyłu samochodu, nachylił się w stronę czarnoskórego kierowcy w randze porucznika.

– Do widzenia, Patricku – powiedział. – Obawiam się, że to już koniec. Porzuć gdzieś land rovera. Zakop broń i oznacz miejsce. Zostaw mundur i ukryj się w dżungli. Jasne?

Porucznik, który jeszcze przed rokiem był szeregowcem, a promocję zawdzięczał raczej umiejętności walki niż władania nożem i widelcem, posępnie pokiwał głową, przyjmując instrukcje.

– Do widzenia, proszę pana.

Czterej pozostali najemnicy pożegnali się, po czym odeszli w stronę douglasa.

Dowódca już miał za nimi podążyć, gdy z ciemnego lasu za pasem startowym wybiegły dwie zakonnice.

– Panie majorze.

Odwrócił się i rozpoznał w jednej z nich siostrę, którą po raz pierwszy spotkał kilka miesięcy wcześniej, gdy walki rozgorzały w pobliżu prowadzonego przez nią szpitala, a on był zmuszony ewakuować całą placówkę.

– Siostra Mary Joseph? Co siostra tutaj robi?

Stara irlandzka zakonnica zaczęła coś do niego mówić poważnym głosem, trzymając go za poplamiony rękaw munduru. Pokiwała głową.

– Postaram się, więcej nie mogę obiecać – odpowiedział, kiedy skończyła.

Przeciął pas i podszedł do południowoafrykańskiego pilota stojącego pod skrzydłem DC-4. Najemnicy rozmawiali przez kilka minut. Wreszcie mężczyzna w mundurze wrócił do czekających zakonnicek.

– Zgodził się, ale musicie się pośpieszyć, siostro. Chce jak najszybciej odlecieć tym gruchotem.

– Niech Bóg pana błogosławi – odpowiedziała kobieta w białym habicie.

Niezwłocznie wydała polecenia swojej towarzyszkce, a ta podbiegła do tylnej części samolotu i zaczęła się wspinać po stopniach prowadzących do drzwi dla pasażerów. Irlandzka zakonnica pędem wróciła do kępy palm za pasem startowym, skąd po chwili wyłoniła się grupka mężczyzn idących gęsiego. Każdy z nich niósł jakieś zawiniątko. Po dotarciu do samolotu przekazywali je zakonnicy czekającej na szczycie schodków. Drugi pilot patrzył, jak siostra układa pierwsze trzy zawiniątko wzdłuż ściany kadłuba, po czym niechętnie zaczął jej pomagać, odbierając tajemnicze pakunki z wyciągniętych rąk i przekazując je do środka.

– Niech Bóg pana błogosławi – wyszeptała Irlandka.

Z jednego z zawiniątek na rękaw drugiego pilota wyleciało trochę zielonych płynnych ekskrementów.

– Jasna cholera – syknął mężczyzna, po czym wrócił do pracy.

• • •

Gdy dowódca najemników został sam, zerknął w stronę lockheeda constellation, po którego tylnych stopniach wspinała się grupa uchodźców, głównie krewnych przywódców pokonanego ludu. W słabym świetle padającym przez otwarte drzwi samolotu dostrzegł mężczyznę, którego wypatrywał. Zamierzał on właśnie wejść na stopnie, podczas gdy inni, skazani na pozostanie i ukrycie się w dżungli, czekali, by zabrać schodki.

– Panie generale, idzie major Shannon! – zawołał jeden z ludzi.

Generał odwrócił się w stronę nadchodzącego Shannona i nawet w takich okolicznościach udało mu się uśmiechnąć.

– No, Shannon, chce się pan z nami zabrać?

Major stanął przed nim i zaszutował. Generał skinął głową.

– Dziękuję, panie generale, ale nie. Mamy transport do Libreville. Po prostu chciałem się pożegnać.

– Tak. To była długa walka, ale obawiam się, że dobiegła końca. Przynajmniej na kilka lat. Nie wierzę, że moi ludzie już zawsze będą żyć w niewoli. Przy okazji, czy pan i pana współpracownicy otrzymali zapłatę zgodną z umową?

– Tak, dziękuję, panie generale. Wszystko zapłacono w terminie – odpowiedział najemnik, a Afrykanin z powagą pokiwał głową.

– Więc do widzenia. Dziękuję za wszystko, czego udało się wam dokonać.

Wyciągnął rękę i mężczyźni uściskali sobie dłonie.

– Jest jeszcze jedna sprawa, panie generale – rzekł Shannon. – Rozmawialiśmy o tym z chłopakami, siedząc w samo-

chodzie. Jeśli kiedykolwiek... Cóż, jeśli będzie pan potrzebował naszej pomocy, proszę dać nam znać. Przybędziemy w komplecie. Wystarczy dać sygnał. Chłopcy chcieli, żeby pan o tym wiedział.

Generał przyglądał mu się przez kilka sekund.

– Ta noc jest pełna niespodzianek – powiedział powoli.
– Może pan jeszcze o tym nie wie, ale połowa moich doradców, w tym wszyscy zamożni, właśnie zmieniała front i próbuje się wkraść w łaski wroga. Większość pozostałych dołączy do nich w ciągu miesiąca. Dziękuję za pańską propozycję, panie Shannon. Będę o niej pamiętał. Do zobaczenia i powodzenia.

Odwrócił się i wspiał po schodkach do słabo oświetlonego wnętrza lockheeda, gdy pierwszy z czterech silników, kaszląc, zbudził się do życia. Shannon odsunął się i po raz ostatni zasalutował mężczyźnie, który zatrudniał go przez ostatnie półtora roku.

– Również życzę powodzenia – powiedział pod nosem. – Będzie go pan potrzebował.

Odwrócił się i podszedł do czekającego DC-4. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Van Cleef jeszcze jakiś czas czekał z włączonym silnikiem na płycie postojowej, patrząc, jak constellation z opuszczonym nosem hałaśliwie mknie pasem startowym i wzbija się w powietrze. Oba samoloty miały wyłączone światła, ale z kokpitu douglasa Afrykaner dostrzegł trzy stateczniki lockheeda znikające w gościnnych obłokach ponad palmami na południu. Dopiero wtedy ruszył, wioząc zawodzący i popiskujący ładunek na pas startowy.

Minęła niemal godzina, zanim Van Cleef polecił drugiemu pilotowi zapalić światła w kabinie. Godzina wypełniona przemykaniem od jednego skupiska chmur do drugiego i przecinaniem niskich warstw altostratusów, by ponownie skryć się w gęstszych obłokach. Cały czas unikali oświetlonych blaskiem księżyca przestworzy, gdzie mogliby ich wypatrzeć piloci wa-

łęsających się MiG-ów. Dopiero gdy znaleźli się daleko nad zatoką, pozostawiwszy wybrzeże wiele kilometrów za sobą, Van Cleef pozwolił włączyć światła.

Za jego plecami z ciemności wyłonił się dziwaczny widok, który mógłby narysować Doré w wyjątkowo mrocznym nastroju. Podłogę samolotu pokrywały mokre i zabrudzone koce, jeszcze przed godziną stanowiące zewnętrzną warstwę zawiniątek. Ich zawartość wila się poukładana w rzędach wzdłuż obu ścian kabiny w części towarowej. Czterdzieścioro małych dzieci, pokurczonych, wysuszonych i zdeformowanych z powodu niedożywienia. Siostra Mary Joseph podniosła się z kucek i zaczęła chodzić wzdłuż rzędów chudziniek, z których każda miała kawałek plastra przyklejony na czole tuż poniżej linii włosów dawno poczerwieniałych na skutek anemii. Na plastrach długopisem zapisano najważniejsze informacje dla sierocińca na przedmieściach Libreville. Nazwisko i numer, ale nie status. Nie przyznaje się statusu przegranym.

W ogonie samolotu pięciu najemników zamrugało pod wpływem światła i zerknęło na swoich towarzyszy podróży. Widzieli to wszystko już wielokrotnie w ciągu ostatnich miesięcy. Czuli lekkie obrzydzenie, ale tego nie okazywali. Do wszystkiego można przywyknąć. W Kongu, Jemenie, Katan-dze, Sudanie. Wszędzie ta sama historia, zawsze dzieciaki. I nigdy nie można nic na to poradzić. Dlatego przeszli nad tym do porządku dziennego i wyciągnęli papierosy.

W blasku światła zobaczyli się wyraźniej po raz pierwszy od zachodu słońca poprzedniego dnia. Mieli mundury zaplamione potem i czerwoną ziemią, a twarze wymizerowane ze zmęczenia. Przywódca siedział z wyciągniętymi nogami, opierając się plecami o drzwi ubikacji, twarzą zwrócony w stronę kokpitu. Carlo Alfred Thomas Shannon, trzydzieści trzy lata, nierówno przystrzyżone blond włosy. Bardzo krótka fryzura dobrze się sprawdza w tropikach, gdyż pot łatwiej po niej spływa, a robaki nie mogą się zaplątać we włosy. Ze względu na inicjały nazy-

wano go Cat Shannon. Pochodził z hrabstwa Tyrone w Ulsterze. Ojciec posłał go do angielskiej szkoły prywatnej, więc w jego mowie już nie pobrzmiewał charakterystyczny północnoirlandzki akcent. Spędziwszy pięć lat w brytyjskiej piechocie morskiej, odszedł, by spróbować życia w cywilu, a sześć lat temu znalazł pracę w londyńskiej spółce handlowej, która działała w Ugandzie. Pewnego słonecznego poranka dyskretnie zamknął księgi rachunkowe, wsiadł do swojego land rovera i pojechał na zachód do kongijskiej granicy. Tydzień później zaciągnął się jako najemnik do piątego oddziału komandosów Mike'a Hoare'a w Stanleyville.

Był świadkiem tego, jak Hoare ustępuje miejsca John-Johnowi Petersowi, a gdy poróżnił się z Petersem, pojechał na północ, by dołączyć do Denarda w Paulis. Dwa lata później uczestniczył w buncie w Stanleyville, a kiedy ranny w głowę Francuz został ewakuowany do Rodezji, Shannon przyłączył się do Czarnego Jacques'a Shremme'a, belgijskiego najemnika, a niegdyś plantatora, podczas jego długiej wędrówki do Bukavu, a stamtąd do Kigali. Gdy Czerwony Krzyż odesłał go do ojczyzny, Shannon bezzwłocznie pojechał jako ochotnik na kolejną wojnę do Afryki i wreszcie objął dowodzenie nad własnym batalionem. Jednak wtedy było już za późno na odniesienie zwycięstwa, jak zwykle.

Po jego lewej stronie siedział najlepszy specjalista od móżdżerzy na północ od Zambezi. Wielki Jan Dupree miał dwadzieścia osiem lat i urodził się w Paarl w Prowincji Przylądkowej. Był potomkiem zubożałego rodu hugenotów, a jego przodkowie uciekli na Przylądek Dobrej Nadziei przed gniewem Mazarina po zdławieniu wolności religijnej we Francji. Jego twarz o ostrych rysach, zdominowana przez haczykowaty nos sterczący nad wąskimi ustami, wyglądała jeszcze mizerniej niż zazwyczaj, a wyczerpanie naznaczyło mu policzki głębokimi zmarszczkami. Powieki przesłaniały bładoniebieskie oczy, smugi brudu pokrywały jasne brwi i włosy. Zerknął w dół na dzieci leżące w prześcieniu i mruknął *Bliksems* (dranie)

pod adresem ludzi bogatych i uprzywilejowanych, których obwiniał za całe zło tego świata, po czym spróbował ponownie zasnąć.

Obok niego rozłożył się Marc Vlamincq, Malutki Marc, nazywany tak ze względu na potężną posturę. Flamand z Ostendy, który miał metr dziewięćdziesiąt w samych skarpetkach, jeśli w ogóle je wkładał, i ważył prawie sto piętnaście kilogramów, mimo że nie był tłusty. Wzbudzał trwogę wśród policjantów w Ostendzie, przeważnie spokojnych ludzi, którzy wolą unikać problemów, oraz sympatię i szacunek miejskich szklarzy i stolarzy, gdyż stale zapewniał im zajęcie. Powiadano, że można rozpoznać bary, w których zabawił się Malutki Marc, po liczbie rzemieślników potrzebnych, by przywrócić każdy z lokali do dawnego stanu.

Jako sierota wychował się w ośrodku prowadzonym przez księży, którzy próbowali biciem skłonić nadmiernie wyrosłego chłopaka do szacunku. Czynili to z taką regularnością, że Marc w końcu stracił cierpliwość i w wieku trzynastu lat ciosem pięści powalił na posadzkę jednego z wymachujących trzcinką świętych ojczulków.

Po tym wyczynie czekał go pobyt w kilku zakładach poprawczych, a następnie w więzieniu dla nieletnich. W końcu społeczeństwo odetchnęło z ulgą, gdy Marc zaciągnął się do wojsk spadochronowych. Był jednym z pięciuset ludzi zrzuconych nad Stanleyville z pułkownikiem Laurentem na ratunek misjonarzom, których lokalny przywódca rebeliantów Christophe Gbenye chciał upiec żywcem na głównym placu.

W ciągu czterdziestu minut od wylądowania na pasie lotniska Malutki Marc odnalazł swoje powołanie. Po tygodniu zdezerterował, by uniknąć odesłania do koszar w Belgii, i przyłączył się do najemników. Nie tylko imponował siłą pięści i ramion, ale także znakomicie radził sobie z bazooką, która była jego ulubioną bronią i którą posługiwał się z taką samą swobodą, z jaką chłopcy strzelają z procy.

Tamtej nocy, gdy wyleciał z enklawy w stronę Libreville,

miał zaledwie trzydzieści lat.

Naprzeciwnie Belga siedział Jean-Baptiste Langarotti i robił to co zawsze, by zabić czas. Niski i smukły, ale solidnie zbudowany, o oliwkowej skórze. Korsykanin urodzony i wychowany w miasteczku Calvi. W wieku osiemnastu lat został powołany do francuskiej armii, by walczyć jako jeden ze stu tysięcy *appelés* w wojnie w Algierii. W połowie osiemnastomiesięcznej służby zatrudnił się jako żołnierz zawodowy, a później trafił do Dziesiątego Kolonialnego Pułku Spadochroniarzy, wzbudzających przerażenie czerwonych beretów dowodzonych przez generała Massu, znanych pod nazwą *les paras*. Miał dwadzieścia jeden lat, kiedy wybuchło powstanie i część jednostek zawodowej kolonialnej armii francuskiej pośpieszyła do Algierii, by powołać do życia Organizację Tajnej Armii (OAS). Langarotti dołączył do OAS, następnie zdezerterował, a po niepowodzeniu puczu w kwietniu 1961 roku zszedł do podziemia. Złapano go trzy lata później we Francji, gdzie ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem, i wtrącono na cztery lata do więzienia. Męczył się w mrocznych, pozbawionych słońca celach paryskiego Santé, następnie w Tours, a w końcu na Île de Ré. Był kłopotliwym więźniem, czego ślady dwaj strażnicy nosili do końca życia.

Kilkakrotnie został pobity niemal na śmierć za ataki na strażników. Odsiedział cały wyrok i wyszedł w 1968 roku, bojąc się tylko jednej rzeczy – małych zamkniętych przestrzeni, cel i dziur. Poprzysiągł sobie, że już nigdy nie trafi do takiego miejsca, nawet jeśli będzie go to kosztowało życie, a jeśli znów po niego przyjdą, to zabierze ze sobą do grobu przynajmniej pół tuzina wrogów. Niecałe trzy miesiące po wyjściu na wolność na własny koszt poleciał do Afryki i przyłączył się do wojny, zostając zawodowym najemnikiem u boku Shannona. Teraz miał trzydzieści jeden lat. Od czasu wyjścia z więzienia regularnie ćwiczył posługiwanie się bronią, której nauczył się używać jako chłopak na Korsyce i która później w bocznych uliczkach Algieru zapewniła mu nie lada reputację.

Lewą pięść miał owiniętą szerokim skórzanym paskiem przypominającym pasek używany przez staroświeckich fryzjerów do ostrzenia brzytwy, zapiętym na dwa zatrzaski. W wolnych chwilach zdejmował go, odwracał na stronę bez zatrzasków i owijał nim lewą pięść. Właśnie tak zrobił podczas podróży do Libreville. W prawej dłoni trzymał nóż o piętnastocentymetrowym ostrzu i kościanej rękojeści, którym potrafił się posługiwać tak szybko, że ostrze wracało do pochwy, zanim ofiara zdała sobie sprawę, że została śmiertelnie ugodzona. Nóż rytmicznie przesuwiał się tam i z powrotem po napiętej skórze paska, z każdym pociągnięciem nabierając ostrości. Ten ruch koił Langarottiemu nerwy, a zarazem irytował wszystkich wokół, jednak nikt się nie skarżył. Ci, którzy go znali, nigdy nie kłócili się z tym drobnym człowiekiem o cichym głosie i smutnym półuśmiechu.

Pomiędzy Langarottiego a Shannona wcisnął się najstarszy członek grupy. Niemiec Kurt Semmler miał czterdzieści lat i to on na początku istnienia oddziału wymyślił motyw czaszki i skrzyżowanych piszczeli zdobiący stroje najemników oraz ich afrykańskich rekrutów. To także on oczyścił ośmiokilometrowy sektor z federalnych żołnierzy, oznaczając linię frontu palikami, na których zatknięto ich głowy. Przez kolejny miesiąc był to najspokojniejszy sektor w całej kampanii. Semmler przyszedł na świat w 1930 roku i wychował się w hitlerowskich Niemczech. Był synem inżyniera z Monachium, który zginął na froncie rosyjskim, walcząc w szeregach organizacji Todt. W wieku piętnastu lat Kurt, żarliwy wychowanek Hitlerjugend, podobnie jak niemal wszyscy jego rówieśnicy po dwunastu latach rządów Hitlera, stanął na czele niewielkiego oddziału złożonego z jeszcze młodszych dzieci oraz ponad siedemdziesięcioletnich starców. Jego zadanie polegało na powstrzymaniu kolumn czołgów generała George'a Pattona za pomocą jednego panzerfausta i trzech karabinów samopowtarzalnych. Zgodnie z przewidywaniami poniósł klęskę i spędził okres dorostania w Bawarii pod amerykańską okupacją,

co wcale mu się nie podobało. Miał niewiele czasu dla swojej matki, fanatyczki religijnej, która chciała, by został księdzem. W wieku siedemnastu lat uciekł, przekroczył francuską granicę koło Strasburga i zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej w tamtejszym biurze rekrutacyjnym nastawionym na wyłapywanie niemieckich i belgijskich dezertków. Spędził rok w Sidi-bel-Abbès, po czym wyruszył z ekspedycją zbrojną do Indochin. Po ośmiu latach i bitwie pod Dien Bien Phu, straciwszy płuco usunięte przez chirurgów w Tourane (Danang), przyleciał z powrotem do Francji, szczęśliwie nie oglądając na własne oczy ostatecznego upokorzenia w Hanoi. Po powrocie do zdrowia w 1958 roku został wysłany do Algierii jako chorąży najbardziej elitarnej jednostki francuskiej armii kolonialnej, Pierwszego Regimentu Spadochroniarzy Legii Cudzoziemskiej. Należał do garstki żołnierzy, którzy dwukrotnie przetrwali całkowite zniszczenie tego oddziału w Indochinach, najpierw jako batalionu, a później regimentu. Podziwiał tylko dwie osoby, pułkownika Rogera Faulques'a dowodzącego formacją spadochroniarzy, gdy ta, jeszcze jako kompania, po raz pierwszy została starta na proch, oraz komendanta Le Brasa, również weterana, który obecnie dowodził Gwardią Republikańską Gabonu i pilnował, by to bogate w uran państwo pozostało pod kontrolą Francji. Nawet pułkownik Marc Rodin, niegdyś dowódca Semmlera, utracił jego szacunek po rozpadzie OAS.

Semmler był z pierwszym regimentem spadochroniarzy, gdy ten pomaszerował na zatracenie podczas puczu w Algierze, a następnie został rozwiązany przez Charles'a de Gaulle'a. Poszedł drogą wskazaną przez swoich francuskich oficerów i tuż po uzyskaniu przez Algierię niepodległości został złapany w Marsylii we wrześniu 1962 roku, co kosztowało go dwa lata więzienia. Cztery rzędkie odznaczeń zdobytych podczas kampanii ocaliły go przed gorszym losem. W roku 1964 po raz pierwszy od dwudziestu lat wyszedł do cywila, a wtedy skontaktował się z nim były współwięzień, który za-

proponował mu przyłączenie się do przemytniczej operacji w basenie Morza Śródziemnego. Przez trzy lata, nie licząc roku spędzonego we włoskim więzieniu, Semmler przemycił alkohol, złoto, a czasami także broń z jednego końca morza na drugi. Wreszcie zaczął zbijać fortunę na przemyśle papierosów z Włoch do Jugosławii, ale wtedy jego partner oszukał kupców i sprzedających, zrzucił winę na Semmlera, po czym zniknął z pieniędzmi. Poszukiwany przez grupę wojowniczych dżentelmenów Semmler popłynął do Hiszpanii, kilkoma autobusami dotarł do Lizbony, skontaktował się ze znajomym handlarzem bronią i przyłączył do afrykańskiej wojny, o której czytał w gazetach. Shannon przyjął go z otwartymi rękami, ponieważ po szesnastu latach spędzonych na polach bitew Niemiec Semmler był najbardziej z nich wszystkich doświadczony w walce w dżungli. On także drzemał podczas lotu do Libreville.

Dwie godziny przed świtem DC-4 zaczął podchodzić do lądowania. Ponad płacz dzieci wybijało się czyjeś gwizdanie. To gwizdał Shannon. Jego towarzysze wiedzieli, że zawsze to robi, gdy leci na akcję lub z niej wraca. Zнали także tytuł melodii, ponieważ kiedyś im go zdradził. Nazywała się *Spanish Harlem*.

• • •

DC-4 dwukrotnie okrążył lotnisko w Libreville, podczas gdy Van Cleef rozmawiał z wieżą. Kiedy stary samolot transportowy zatrzymał się na końcu pasa, przed nos maszyny wjechał wojskowy jeep, a jadący nim dwaj francuscy żołnierze polecieli Van Cleefowi, by kołował za nimi na drugą stronę pasa.

Oddalili się od głównych budynków w stronę skupiska chatki na przeciwległym krańcu lotniska. Tam dali pilotowi sygnał, by zatrzymał samolot, ale nie wyłączał silników. Po chwili do tylnej części maszyny podstawiono schodki, a drugi pilot otworzył drzwi. Do środka zajrzał mężczyzna w kepi i przyjrzał się wnętrzu douglasa, z obrzydzeniem marszcząc nos

pod wpływem smrodu. Francuski oficer zatrzymał wzrok na pięciu najemnikach, po czym gestem poprosił ich, by zeszli z nim na płytę lotniska. Gdy znaleźli się na ziemi, żołnierz poleciał drugiemu pilotowi zamknąć drzwi. Samolot bez dalszej zwłoki ruszył w stronę głównego budynku, gdzie zespół pielęgniarek i lekarzy z francuskiego Czerwonego Krzyża czekał, by zabrać dzieci do kliniki pediatrycznej. Gdy maszyna minęła najemników, ci pomachali z wdzięcznością Van Cleefowi siedzącemu w kabinie, po czym podążyli za francuskim oficerem.

Musieli czekać godzinę w jednej z chatek na niewygodnych drewnianych krzesłach, podczas gdy kilku młodych francuskich żołnierzy zaglądało przez uchylone drzwi, by się przyjrzeć *les affreux*, strasznym, jak ich nazywano we francuskim slangu. W końcu usłyszeli, jak na zewnątrz z piskiem opon zatrzymuje się jeep, a na korytarzu trzaskają obcasy ludzi stojących na baczność. Gdy drzwi wreszcie się otworzyły, wszedł przez nie opalony, surowy starszy oficer ubrany w mundur tropikalny oraz kepi ze złotą lamówką wokół górnej krawędzi. Shannon zauważył czujne, szybko poruszające się oczy, siwe, krótko przycięte włosy pod kepi, skrzydełka wojsk spadochronowych przypięte ponad pięcioma rzędami odznaczeń. Semmler wyprostował się jak struna, unosząc podbródek i przyciskając złączone palce do tego, co niegdyś uchodziło za szwy na jego spodniach od munduru. To wystarczyło, by Shannon zrozumiał, że gościem jest legendarny Le Bras.

Weteran z Indochin i Algierii uściśnął dłonie obu najemnikom, dłużej zatrzymując się przed Semmlerem.

– *Alors*, Semmler? – odezwał się cicho z łagodnym uśmiechem. – Nadal walczysz. Ale widzę, że już nie jesteś adiutantem, tylko kapitanem.

Semmler był zażenowany.

– *Oui, mon commandant, pardon, colonel*. Tylko tymczasowo.

Le Bras kilkakrotnie refleksyjnie pokiwał głową.

– Zakwateruję was z wygodami. Z pewnością chętnie się wykąpiecie, ogolicie i coś zjecie. Nie macie innych ubrań, więc dostarczymy wam nowe. Obawiam się, że na razie będziecie musieli pozostać w swoich pokojach. Ot, na wszelki wypadek. W mieście jest wielu dziennikarzy, a my musimy unikać kontaktu z nimi. Gdy tylko będzie to możliwe, zorganizujemy wam lot powrotny do Europy.

Powiedział wszystko, co zamierzał, więc zamilkł. Dotknął prawą dłońią krawędzi kepi, salutując pięciu wyprostowanym postaciom, po czym wyszedł.

Godzinę później, po podróży zabudowaną furgonetką i skorzystaniu z tylnego wejścia, mężczyźni znaleźli się w swoich kwaterach, pięciu pokojach na ostatnim piętrze hotelu Gamba, nowego budynku, który znajdował się zaledwie pół kilometra od lotniska, po drugiej stronie ulicy, a przez to wiele kilometrów od centrum miasta. Młody oficer, który ich przyprowadził, uprzedził, że będą musieli jeść posiłki na tym samym piętrze i pozostać tam aż do odwołania. Po niecałej godzinie wrócił z ręcznikami, żyletkami, pastą i szczoteczkami do zębów, mydłem oraz gąbkami. Wcześniej przyniesiono im tacę z kawą, a każdy z mężczyzn z rozkoszą zanurzył się w głębokiej, parującej, pachnącej mydłem wodzie po raz pierwszy od ponad pół roku.

W południe pojawił się wojskowy fryzjer oraz jeden z kaprali, który przyniósł sterty spodni i koszul, kamizelek, majtek i skarpet, piżam oraz płóciennych butów. Przymierzili ubrania, wybrali te, które im odpowiadały, i kapral zabrał resztę. Wrócił o trzynastej razem z czterema kelnerami niosącymi obiad i przestrzegł najemników, by nie wychodzili na balkony. Gdyby chcieli poćwiczyć, będą musieli to zrobić w swoich pokojach. Kapral obiecał, że wieczorem przyniesie książki i czasopisma, chociaż nie mógł zagwarantować, że znajdzie cokolwiek po angielsku lub w afrikaans.

Po najwspanialszej uczcie od pół roku, czyli od czasu ostat-

niej przerwy w walce, cała piątka położyła się spać. Gdy chrapali na niezwykle wygodnych materacach w niewiarygodnej pościeli, Van Cleef pod osłoną ciemności poderwał douglasa z pasa startowego i przeleciał w odległości półtora kilometra od okien hotelu Gamba, kierując się na południe ku Caprivi i Johannesburgowi. Jego misja również dobiegła końca.

• • •

Pięciu najemników spędziło na ostatnim piętrze hotelu cztery tygodnie. Tymczasem zainteresowanie prasy osłabło, aż w końcu redaktorzy odwołali swoich dziennikarzy, nie widząc sensu w trzymaniu ich w mieście, w którym nic się nie dzieje.

Pewnego wieczoru najemników niespodziewanie odwiedził francuski kapitan ze sztabu komendanta Le Brasa. Już od progu szeroko się uśmiechnął.

– Messieurs, mam dla was wieści. Dziś w nocy wylatujecie do Paryża. Macie zarezerwowane miejsca w samolocie linii Air Afrique, który odlatuje o dwudziestej trzeciej trzydzieści.

Cała piątka, rozkojarzona i znudzona za sprawą przedłużającego się odizolowania, zareagowała wiwatami.

Lot do Paryża z międzylądowaniami w Douali i Nicei trwał dziesięć godzin. Tuż przed dziesiątą następnego dnia wysiedli na przejmujący ziab na lotnisku Le Bourget. Była połowa lutego. Pożegnali się w lotniskowej kawiarni. Dupree postanowił pojechać autokarem na Orly i tam kupić bilet na samolot SAA do Johannesburga i Kapsztadu. Semmler zamierzał mu towarzyszyć i wrócić do Monachium, a przynajmniej wpaść tam z krótką wizytą. Vlaminck stwierdził, że pojedzie na Gare du Nord, gdzie złapie pierwszy ekspres do Brukseli, skąd ruszy do Ostendy. Z kolei Langanotti wybierał się na Gare de Lyon, by wsiąść do pociągu do Marsylii.

– Będziemy w kontakcie – powiedzieli i popatrzyli na Shannona.

Był ich przywódcą, więc to do niego należało znalezienie im pracy, kolejnego kontraktu, następnej wojny. Ponadto gdy-

by któryś z nich dowiedział się o czymś, co dotyczy całej grupy, z pewnością chciałby poinformować pozostałych, Shannon zaś najlepiej nadawał się do roli kontaktu.

– Przez jakiś czas zostanę w Paryżu – odparł. – Tutaj mam większą szansę na tymczasową pracę niż w Londynie.

Wymienili się adresami *poste restante* bądź knajp, w których barman może przekazać wiadomość lub przechować list do czasu, gdy adresat wpadnie na drinka. Następnie rozeszli się każdy w swoją stronę.

• • •

Ich lotowi powrotnemu z Afryki towarzyszyły zaostrzone środki bezpieczeństwa, więc na lotnisku nie było żadnych przedstawicieli prasy. Ktoś jednak usłyszał o ich przybyciu i czekał na Shannona, gdy dowódca grupy samotnie wyłonił się z terminalu.

– Shannon.

Wymówił nazwisko na francuską modłę, a jego głos nie brzmiał przyjaźnie. Shannon odwrócił się i lekko zmrużył oczy, gdy zobaczył postać stojącą w odległości dziesięciu metrów. Był to tęgi mężczyzna ze zwisającymi wąsami. Miał na sobie gruby płaszcz, który chronił go przed zimowym chłodem. Zbliżył się do Shannona na nieco ponad pół metra. Sądząc po tym, jak na siebie patrzyli, nie łączyła ich sympatia.

– Roux – odezwał się Shannon.

– A więc wróciliście.

– Tak. Wróciliśmy.

Francuz zaśmiał się kpiąco.

– Przegrani.

– Nie mieliśmy wyboru – odparł Shannon.

– Mam dla ciebie radę, przyjacielu – odburknął Roux. – Wracaj do swojego kraju. Nie zostawaj tutaj. Byłoby to wielce nieroztropne. To moje miasto. Jeśli szukasz jakiegos kontakt, i tak ja pierwszy się o nim dowiem i postanowię, kto z niego

skorzysta.

W odpowiedzi Shannon podszedł do pierwszej taksówki czekającej przy krawężniku i wrzucił swoją torbę podróżną na tylne siedzenie. Roux ruszył za nim, a jego twarz poczerwieniała z wściekłości.

– Posłuchaj, Shannon. Ostrzegam cię...

Irlandczyk ponownie odwrócił się w jego stronę.

– Nie, to ty mnie posłuchaj, Roux. Zostanę w Paryżu tak długo, jak będę chciał. Nie bałem się ciebie w Kongu i nie boję się teraz. Wypchaj się.

Gdy taksówka odjechała, Roux posłał za nią złowrogie spojrzenie. Wymamrotał coś pod nosem, po czym odszedł w kierunku parkingu, gdzie stał jego samochód.

Uruchomił silnik, wrzucił bieg i przez kilka chwil siedział, wpatrując się w przednią szybę.

– Pewnego dnia zabiję tego drania – mruknął do siebie. Ale ta myśl wcale nie poprawiła mu nastroju.